Nr. 44. We Lwowie dnia 1. listopada 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z WIRCHÓW I HAL.

VII.

Cisza wieczorna.

1.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Hen! od wieczornej idzie zorzy
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Przed nią zawiewa oddech boży:
Wonie jedliczne i świerkowe
Ze swych lesistych wstają łoży.

A ona tuli jasną głowę
Do Osobitej, by wraz potem
Kłaść ją na piersi Giewontowe.

Po reglach muśnie li przelotem,
Czoło Świnniczne w żar rozpali
I Hawrań zleje krwawem złotem.

Tak mknąc po szczycie i po hali,
Z ogniem tęsknicy ginie w dali...

2.

Płonie kamienna Tatr korona,
A Cisza siada między granie,
Rozleniwiała, rozmarzona.

Nad przepaściami niema stanie,
Senność przelewa w mgieł opary,
Po skałach wiesza zadumanie.

Ani się ozwie bór prastary:
Ona milczeniem gniecie smreki,
Unieruchamia ich konary.

Przez cały przestwór, przez daleki,
Głuchą za sobą tęskność wlecze,
Snać dźwigającą wieki.. wieki...

Za nią, jak zdrój, co ledwie ciecze,
Snują się ciężkie myśli człecze...

3.

Owiana mgłami różowemi,
Przystaje w drodze zalękniona,
Przykłada ucho swe do ziemi:

Nic!... tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona.

Pomrok osłania skalne ławy,
A od nich płynie do stóp Ciszy
Li jednostajny szmer siklawy.

Czasem zaklęty las zadyszy,
Albo wystrzelił krzyk pastuszy
I zmilkł... I ona znów nie słyszy

Nic w tej przelękłej, mrocznej głuszy —
Nic, prócz pojęku twojej duszy...

4.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Schodzi powoli od miesiąca
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Po halach srebrne krople strąca,
Srebrzy potoków seledyny,
Ciche pacierze szeptająca.

Upłazy tuli w całun siny,
Szkliwy, jak przędze te pajęcze;
Blask żenie srebrny na gęstwiny;

Blask żenie srebrny na przełęcze,
Na wirchy, kopy, na grzebienie,
Na przepaściste ścian poręcze —

Blask naokoło srebrny żenie,
Z nim wyczerpanie i omdlenie...

5.

Opadły Tatry i omdlały,
Gdy na nie Cisza rozmarzona
Płaszcz zarzuciła wiewny, biały;

Gdy rospoztarła swe ramiona —
Srebrnej rozświetli mgławe smugi —,
Garnące czoła gór do łona:

Jak pas szeroki, jak pas długi,
Od Lodowego do Krywania,
A z nimi puszcze, stawy, strugi,

Szczyt się przy szczycie ku niej słania...
Ona omdlenie wciąż rozsiewa,
Aż w tym bezkresie wyczerpania

Sama jak tęskna mdleje dziewa...
A z nią i ludzki ból omdlewa...

Jan Kasprowicz.

O kwestji tak zwanej „kobiecej"

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Ciąg dalszy).

Różnice pomiędzy organizmami jednopłciowymi męskimi i żeńskimi zasadzają się głównie na cechach płciowych pierwszorzędnych, czyli na cechach, ściśle związanych z czynnościami rozrodczemi, generatywnemi, ale obok cech głównych, znamienujących osobniki jednopłciowe, czyli płciowo wyodrębnione, egzystują jeszcze całe szeregi charakterów, nie ściśle związanych z funkcjami rozrodczemi, czyli tak zwanych drugo i trzeciorzędnych, cielesnych i duchowych. Obie te kategorje znamion, dopiero co wymienionych, nie zawsze i nie koniecznie towarzyszą tamtym, przeciwnie one bywają często przekazywane potomnie, bądź w całości, bądź częściowo tylko, na płeć odmienną, a to na mocy prawa, które nazwiemy prawem krzyżowania cech w potomstwie*).

Można np. być mężczyzną cieleśnie, a posiadać właściwości psychiczne kobiece, można następnie być płciowo mężczyzną, a mieć wygląd kobiety, przy duchowych właściwościach mięszanych męskich i żeńskich; z drugiej strony kobieta może być fizycznie płci żeńskiej, a duchowo posiadać przymioty mężczyzny. Takich mieszańców o wtórnych znamionach płciowych, djametralnie przeciwstawnych cechom głównym, jak np. gruczoły mleczne u osobników męskich, barwy samcze, ozdoby, rogi, etc. u osobników żeńskich, napotykamy często w świecie zwierzęcym, w zakresie cech fizycznych, ale również często napotykamy zmięszanie cech duchowych, szczególnie wyraźnie uwydatnione w osobnikach ludzkich. W tych ostatnich wypadkach mieszańce mogą występować nie tylko tu i ówdzie, przypadkowo, lecz przeciwnie, widzimy często całe kasty, albo warstwy społeczne, niekiedy nawet całe plemiona, złożone przeważnie z takich metysów o wybitnej dwulicowości płciowej. To, co się zwykle mieni zniewieściałością w mowie potocznej, jest wyrazem takiej przewagi cech drugorzędnych duchowych, płciowych, kobiecych (to jest przeważnie obserwowanych u kobiet) w osobnikach męskich.

Uprzytomniwszy sobie fakt, że w organizmie człowieka, spoczywają obok siebie dwa stany płciowości odmiennej, albo tylko warunki do utworzenia takowych, że następnie, rozwój każdego z nich osobno lub pospołu wzięty, w danym kierunku może być raz podniecany, drugi raz tamowany wskutek działalności pewnego szeregu okoliczności zewnętrznych; łatwo jest zrozumieć, że sposób wychowania, warunki bytu i inne czynniki rozmaite wpływać muszą na wytwarzanie się takich objawów, które doszedłszy do pewnego stopnia nieproporcjalności, uwydatnić się mogą w sposób anormalny, albo nawet potworny. Również dobrze uświadomić sobie możemy, że stopień rozwoju tych stanów, o których mowa, zdolny jest wpływać raz korzystnie, drugi raz niekorzystnie na formowanie się tak pojedyńczych indywidualności, jako też i całych społeczeństw.

Owi »gogowie« np. naszych miast stołecznych, którzy poświęcają cały swój czas i mienie na stroje i flirt, nasza tak zwana arystokracja rodowa i pieniężna, która pędzi życie bezmyślne, próżniacze, sybarytyczne, nasze mieszczaństwo, które topi po piwiarniach resztki swojej inteligen-

*) Wiadomo, że właściwości charakteru, tudzież uzdolnienie umysłowe matek bardzo często przechodzą na potomków męzkich, przeciwnie zaś takież właściwości i uzdolnienia ojców przechodzą na potomków płci żeńskiej. Jest to wyraźna wskazówka, z której pedagogja zaniedbała skorzystać (Max Wolff. Zwyrodnienie kobiety współczesnej 1896. str. 107).

cji — stanowią warstwy społeczne zwyrodniałe, noszące na sobie piętna zwyrodnienia (Stigmata degenerationis). Te ostatnie powstały na organizmie męskim, jakoby wskutek wybujałych w nim właściwości natury kobiet modnych dzisiejszych, za jakie to właściwości słusznie, czy niesłusznie, uważają się zwykle namiętność do strojów, próżność, próżniactwo, płytkość sądów i brak logiki w myśli i w czynach.

Gdy ludzie poczynają być zwyrodniałymi, wtedy, jak powiadają uczeni, mężczyźni przybierają charaktery kobiece, a kobiety znamiona istoty męskiej [1])

Za takie narody zwyrodniałe uznaje Rudolf Arndt Amerykanów północnych, Lapończyków, Szlązaków, Wendów i Polaków »północnych« [2]).

[1]) »Wenn die Menschen entarten, nimmt der Mann einen weiblichen Charakter, das Weib einen männlichen an. Darum zeigen auch die amerikanischen Frauen das sichere selbstbewuste Wesen, mit dem sie in der Öffenlichkeit sich bewegen, mit dem sie für ihre sogenannten Frauenrechte in Rede und Schrift kämpfend hervortreten, mit dem sie in Volksversammlungen die Präsidentinnen spielen... Und der amerikanische, nord, neuamerikanische Mann? Unter den Formen einer gewissen Gentlemanliness dem weiblichen Geschlechte gegenüber verbirgt er einen Masochismus, von dem jene, genauer betrachtet, nur besondere Äusserung sind.

Viele der amerikanischen Verhältnisse, unter ihnen auch die moderne Frauenbewegung, welche aus ihnen ihren Anfang genommen und in ihnen noch jetzt ihre kräftigste Stütze hat, sind nur aus dem Vorausgeschickten zu erklären. Das vermannte Weib und der verweibte Mann sind die Hauptbedingungen zu ihrem Entstehen und Bestehen. Wo die Frauen gesund sind und die Männer nicht hysterisch, da kann eine der modernen Frauenbewegung gleiche nicht wohl entstehen... (Dr. Rudolf Arndt Biologische Studien II. Artung und Entartung 1895. P. 261.

[2]) Sehen wir uns mit diesen Erfahrungen ausgerüstet, einmal die Menschen der alten Welt und namentlich Europas an, so kommen wir so ziemlich zu demselben Schluss. Es wird derselbe von den meisten Seiten beanstandet, als ein zu weit gehender hingestellt und zurückgewiesen werden. Die Stigmata degenerationis sind jedoch allerwege wahrzunehmen. Die Lappen hat Virchow schon vor längeren Jahren für eine pathologische Rasse erklärt, d. h. also für eine entartete, degenerirte. Ihre Kleinheit überhaupt, ihre Kurzbeinigheit, Kürze des Gesichts bei hauptsächlich kurzem, mangelhaft entwickeltem Unterkiefer im Besonderen, sind die morphologischen Stigmata dafür. Ihnen ähnlich verhalten sich die kleinen, der polnischen Familie angehörigen Slaven des westpreussischen und westpolnischen Hügellandes, von den Höhen der Kreise Berent, Konitz an, durch Posen, Polen hindurch bis nach Oberschlesien. Ihr kleiner, dürftiger Wuchs, ihre geringe Widerstandsfähigkeit gegen aeussere Einflüsse und daher kurze Lebensdauer, die Skrophulose, Tuberculose, beziehungsweise Schwindsucht, sowie alle gelegentlich antretenden epidemischen Krankheiten raffen die meisten früzeitig dahin, ferner ihre Neigung zum Alkoholgenuss und Alkoholmissbrauch, ihre geistige Indolenz, welche sie aus ihren sonstigen kümmerlichen Lebensverhältnissen sich nicht herausarbeiten lässt. Zeichen einer grossen, auch in vielen anderen Beziehungen noch hervortretenden Moral - insanity«. (Prawdopodobnie zalicza autor także do tych Moral insanity Polaków, jeszcze i nienawiść ich do szowinizmu i despotyzmu pruskiego) »das sind« kończy »ihre hauptsächtlichsten Stigmata degenerationis. Ebenfalls sehr aehnlich verhalten sich die Wenden der Oberlausitz, die Bewohner gewisser Bezirke des schlesichen, sächsischen, des westlichen Teiles des mitteldeutschen Berglandes. (l. c. p. 263).

»Das Temperament der Nordamerikaner ist, wie das der Indianer, ein durchaus nervöses, reizbares, ein choleriches oder vielleicht richtiger noch bezeichnet, ein melancholisch - cholerisches, und ihr Charakter ein egoistischer, roher, harter, rücksichtsloser, selbst grausamer, der nicht leicht vor etwas zürückschreckt, wenn es Vortheil bringt. Die geschätzteste Tugend der Nordamerikaner ist die Smartness als Gewandtheit. Pfiffigheit, Durchtriebenheit, Gerissenheit. Auch die Gentleman nehmen sich voreinander in Acht, und nicht leicht wird bei der vollständigen Toilette des Mannes der Revolver und das Bowiemesser vermisst. (l. c. p. 261). Die Nordamerikaner... sind danach eine ebenso entartete, degenerierte, Bevölkerung wie die Uramerikaner, die sogenannten Indiauer, welche immer rascher ihrem Untergange entgegengehen (l. c. p. 263).

Gdyby to zdanie mogło kiedykolwiek być uznane za słuszne, ze względu na stosunki nieszczęśliwe, w których żyje znaczna część ludów wymienionych, to już w zupełności odmówić musimy znaczenia innym zapatrywaniom pewnych autorów, według których warstwy społeczne, plemiona i narody, noszące chwilowo na sobie piętno zwyrodnienia, są już przez to samo przeznaczone na zagładę. Przeciwnie, twierdzić musimy na podstawie faktów obserwowanych, że tak nie jest, bo zmiana ku lepszemu może nastąpić i nastąpić musi, skoro tylko zmienione zostaną warunki, w których żyją zwyradniające się osobniki, gatunki, rodzaje i narody. [3]).

[3]) Na to się zgadza i Arndt, gdy powiada »Dass die Entartung des Menschen, beziehentlich des Menschengeschlechtes wieder zurückgehen und aus der Degeneration eine Regeneration stattfinden kann, hat die Erfahrung sattsam gelehrt«. Nawet kretynizm ustaje i znika, jak o tem miałem sposobność przekonać się w Daurji, obserwując ludność mieszkającą w dorzeczu Arguni. Takiego samego zdania jest także i Arndt. »Der Kretinismus« powiada on »verliert sich, die ihm verfallenen Geschlechter erholen sich, gesunden, und in der dritten, vierten Generation ist von ihm vielleicht kaum noch etwas zu bemerken«. (l. c. p. 307). Jeżeli tedy tacy ludzie zwyrodniali, jak kretyni, mogą mieć nadzieję na regenerację, to cóż mówić o innych formach zwyrodnienia?

(C. d. n.)

Fryderyk Smetana.

Jego życie, dzieła i znaczenie.*)

I.

Wacław Smetana, bednarz sadowski, miał z Ludwiką Konarowską, córką młynarza miejscowego, dziesięcioro dzieci. Najmłodszym z nich był Franciszek, który w chwili śmierci ojca (1779) liczył półtora roku życia. Franciszek chciał zrazu oddać się leśnictwu, ale chłopakiem trzynastoletnim przerzucił się do piwowarstwa. Po dwu latach wyzwolony, wkrótce został »podstarszym«, choć wykształcenie jego było mniej, niż miernem, bo nie umiał ani pisać, ani czytać. Ale przy zdolnościach wrodzonych i chęciach dobrych nauczył się prywatnie u nauczyciela miejscowego nietylko czytania i pisania, ale nawet gry na skrzypcach. Lubił bowiem muzykę namiętnie, a najmilszymi kompozytorami byli mu Pleyel i Jirowec — wielkości zapomniane. Odbywszy wędrówkę, uświęconą zwyczajem, z celem ubocznym nauczenia się po niemiecku, wydzierżawił sobie za pieniądze oszczędzone browar we Chwałkowicach pod Jaromierzem. Wojny napoleońskie zapędziły go aż na Szląsk, gdzie dorobił się majątku stutysięcznego. Po powrocie do ojczyzny przyjął miejsce piwowara w Nowem Mieście nad Metują i tu ożenił się w r. 1820 po raz trzeci, będąc już ojcem pięciu córek. Wybraną jego była Barbara Linkówna, dwudziestodwuletnia ekonomówna z Głębokiego (Hluboké) pod Górzycami (Horzice). Już wtedy nie był Franciszek panem stutysięcznym, bo bankructwo państwa z 20. lutego 1811 r. zmniejszyło jego mienie o cztery piąte. To też szukał fortuny straconej, wędrując z jednego browaru do drugiego. W rok po ożenku z Barbarą już go widzimy zarządcą browaru hr. Waldsteina w Litomyślu, gdzie pozostał lat dziesięć.

W Litomyślu zaznał Franciszek w całej pełni szczęścia rodzinnego. Do pięciu dzieci przybyło obecnie sześć; mianowicie po sześciu córkach urodził się panu zarządcy 2. marca 1824 r., a więc w sam wtorek mięsopustny, syn pierwszy. Łatwo pojąć, że ojciec z radości puścił się na podwórzu w tany z dziewką, która mu przyniosła tę wieść radośną. Tego dnia jeszcze ochrzczono niemowlę imieniem Fryderyka z woli matki, której według jej opowiadania parę dni przedtem zjawił się był we śnie anioł, przypowiedział narodzenie syna i polecił mu nadać imię wspomniane. Psychologicznie zjawienie to tłumaczy fakt, że pani Barbara niegdyś miała narzeczonego Fryderyka, który poległ w wojnie.

Zdolności muzyczne objawił Fryduś bardzo wcześnie, z zapałem chwytając za skrzypki ojcowskie i rzępoląc godzinami. Do klawikordu natomiast musiał go ojciec aż ciągnąć za uszy, jak sam opowiadał później. Ale niechęć do tego instrumentu trwała krótko. Ledwie bowiem malec spostrzegł, że na klawikordzie łatwiej snuć pomysły, których główce jego nie brakło, już go odeń nie można było oderwać. Chmielik, pierwszy nauczyciel muzyki Fryderyczka, nie tamował popędu twórczego; owszem słuchał kompozycji pięcioletniego malca z uwagą, a następnie zapisywał je skrzętnie. Tym sposobem ocalały dwie z nich, walczyk i galop.

Był więc Smetana dzieckiem cudownem i takiem ogłoszono go publicznie na wieczorze publicznym, tzw. akademji, którą urządzili w Litomyślu uczniowie »filozofji«, na cześć imienin cesarskich 4. października 1830 r. Mianowicie wykonał wtedy chłopczyna półsiódmaroczny fantazję z jakiejś opery z takiem powodzeniem, że publiczność nie mogła się nacieszyć malcem. Od tej chwili i hrabiostwo zwrócili na syna swego piwowara uwagę, przyjmowali go na swych pokojach i podziwiali grę jego.

Gdy w r. 1831 rodzina Smetanów przeniosła się do Hradca Henrykowego (Jindrzichów Hradec), ukończył tu mały wirtuoz szkołę elementarną i wstąpił do gimnazjum, ćwicząc się przytem w muzyce i śpiewie, u wybornego organisty, Ikawca.

Po czteru latach wysłał ojciec Fryderyka wraz z młodszym Antonim do Igławy, ażeby się nauczyli dobrze po niemiecku. Były to bowiem jeszcze czasy, kiedy niemczyzna panowała w Czechach, nawet w stolicy.

W r. 1836 ojciec Smetana nabył posiadłość w Różkowej Lgotce pod Czechticami — a przy tej sposobności przerzucił synów do Niemieckiego Brodu. Tu uczył się Smetana muzyki pod okiem prof. ks. Szymdelarza, wielbiciela oper Webera. Ale komu raz wypadło ujrzeć Pragę, jak to się trafiło Fryderykowi przy sposobności przeprowadzki ojca do Lgotki w r. 1836, temu już jej niezapomnieć! Marzył też chłopak o stolicy, która wówczas stanowiła poważne ognisko ruchu muzycznego Nie przestał nalegać na ojca, póki za wstawieniem się kuzyna, profesora pilzeńskiego, J. Fr. Smetany, nie uzyskał przyjęcia do czwartej klasy praskiego gimnazjum akademickiego.

Wraz z przybyciem do Pragi na jesień 1893 r., gdzie dostał się pod kierownictwo słynnego »ojca« Jungmanna, rozpoczęło się dla chłopca piętnastoletniego nowe życie. Wprawdzie w szkole wiodło mu się nie najlepiej, ale za to teka kompozytorska grubiała. Posypały się liczne kwartety smyczkowe, niekiedy w dziwacznych

*) Prw. E. Krasnohorskiej: Bedrzich Smetana (1885), Dra Teigego: Skladby Smetanowy I. (1893), Dra O. Hostińskiego: O nyniejszim stawu a smieru czeske hudby (1885) i artykuł o Smetanie w »Naszej dobie« z r. 1895 (po franc. w publikacji K. Hipmana *La nation tchèque*.

tonacjach, np. Des-moll. Raj praski skończył się wszakże z wiosną, gdy ojciec, zjechawszy do Pragi, dowiedział się, że chłopak oddawna porzucił szkołę. Ojciec rozgniewany chciał syna za karę posłać w ekonomy. Ale na prośby poczciwego krewniaka pilzeńskiego, oddał Fryderyka w jesieni 1840 r. pod dozór jego i do gimnazjum pilzeńskiego. Trzy lata upłynęły Fryderykowi teraz wśród pilnej nauki — bo krewniak-profesor nie spuszczał go z oka — i jeszcze pilniejszego ćwiczenia się w muzyce i kompozycji. Wreszcie studja się skończyły. Przyszła kolej na pytanie: »Co począć?« Ojciec pragnął pokierować syna na urzędnika, ale krewniak-profesor znów wywalczył Fryderykowi pozwolenie udania się do Pragi, a to dla dalszego kształcenia się w muzyce.

Z sercem, pełnem nadziei i planów, ale tylko z dwudziestu guldenami w kieszeni, zawitał Smetana w jesieni 1843 r. do Pragi. Pozostawiony sam sobie, — bo ojciec cofnął zasiłek pieniężny, począł dawać lekcje muzyki, choć mu samemu trzeba się było jeszcze uczyć niejednego. Ciężkie to były czasy i kto wie, coby się z nim było stało, gdyby nie pomoc rodziny J. J. Kolarza, wielce zasłużonego aktora czeskiego, gdyby wreszcie nie miłość, ku córce tego artysty. Kolarzowa wyjednała mu przyjęcie do konserwatorjum głośnego pedagoga muzycznego J. Proksza, gdzie jej córka Katarzyna uczyła się, a następnie była nauczycielką. Miłość zaś do Kolarzówny dodała młodzianowi bodźca do systematycznej pracy nad sobą, którą rozpoczął dopiero u Proksza. I nauczyciel i przyjaciele poznali jego talent pierwszorzędny; to też dbali i o los jego. Już w styczniu 1844 r. za poleceniem Proksza otrzymał miejsce nauczyciela muzyki w domu hr. Leopolda Thuna i odtąd przez cztery lata mógł się bez troski o chleb poświęcać sztuce ulubionej. Wydoskonaliwszy się tymczasem, opuścił dom hrabiowski, by rozpocząć podróż artystyczną dla zdobycia sobie rozgłosu, potrzebnego do powodzenia szkoły muzycznej, którą chciał założyć. Szkoła ta miała mu dać utrzymanie, a tem samem zapewnić rękę ukochanej kobiety. Podróż artystyczna udała się nieszczególnie wobec ówczesnej konstelacji politycznej. Natomiast szkołę otworzył w jesieni 1848 r. w Pradze, gdzie brał dość czynny udział w ruchu politycznym. Wszak nawet komponował marsze dla gwardji narodowej!

Wreszcie w roku następnym poprowadził do ołtarza Kolarzównę. I poczęło się życie szczęśliwe młodej pary. Oboje, wirtuoz i wirtuozka w grze fortepjanowej, przyciągali mnóstwo uczniów do swej szkoły, a stosunki Smetany z domami arystokratycznemi pomogły mu do otrzymania lekcji, sowicie opłacanych. Nadto produkcje, urządzane w ich konserwatorjum, zapoznawały z młodym muzykiem i kompozytorem szerszą publiczność i najwyższe nawet sfery. A wreszcie od chwili, gdy u Kistnera w Lipsku (1851 r.) ukazał się zeszyt kompozycji Smetany z napisem: *Six morceaux caractéristiques pour piano,* dedykowany ubóstwianemu wówczas Lisztowi, poczęto wyglądać dalszych wydawnictw z teki kompozytora. Każde zaś spotykało się z uznaniem takich znawców, jak Liszta, Schumannów, Dreyschocka i coraz bardziej rosnącego koła wielbicieli i przyjaciół.

Rok 1856 stanowi epokę w życiu Smetany. Z kompozytora i prywatnego konserwatorzysty przedzierzgnął się obecnie w dyrektora stowarzyszenia filharmonijnego w Göteborgu (Szwecja). Został nim w zastępstwie i z porady Aleksandra Dreyschocka. W Göteborgu, dokąd po roku dopiero zjechała żona, doznał przyjęcia gorącego; talent zaś jego i zalety umysłu zjednały mu między obcymi grono przyjaciół tak poważne, że mógł pozostać na obczyźnie choćby w najdłuższe lata. Niestety, przeszkodziły temu losy nieprzyjazne, które go wzięły sobie za cel obecnie. Choć powodzenie materjalne nie pozostawiało nic do życzenia, choć utwory mistrza zdobywały sobie powszechne uznanie, piękna żona, dawszy życie czterym córkom, z których tylko najmłodsza ją przeżyła, poczęła zapadać na suchoty i zanim ją Smetana dowiózł do Pragi, zmarła w Dreźnie. Wprawdzie jeszcze tego samego roku (1859) znalazł dla swej Zosieńki drugą matkę w dwudziestoletniej Barbarze Ferdinandjównej, ale Göteborg mu obmierzł. To też skoro w roku 1861. rozeszła się wieść o otwarciu teatru czeskiego w Pradze, pośpieszył do ojczyzny, by pracować odtąd dla kraju własnego.

(C. d. n.). *Dr. Franciszek Krcek.*

W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

(Ciąg dalszy).

— Teraz ty będziesz zemną... Wyzdrowiejesz... pewny jestem. Klimat tutejszy surowy jest, ale jednostajny, a głównie niezmiernie suchy. Chorych na piersi nie spotkałem między krajowcami... A co za powietrze w mojej sadybie!... Co tam za gaj modrzewiowy! Dwóch chłopów drzewa nie obejmie. Dokoła sosny, jodły... W górach rosną cedry... Będę przynosił do domu gałązki... Aromat ich leczy podobno... Chata nasza będzie pachnieć, jak pałac wschodni... A w lecie, jak tam cudnie! Od rzeki wieje chłód. Zwierzyny, pta-

ctwa — moc. Założywszy ogród, kupimy krowę... Będzie wszystko, jak ty zechcesz... Będziemy żyć jak chłopi... a ludzie... Bóg z nimi...

Chora usnęła, ukołysana jego szeptem.

— Cudzoziemcze, kolacja podana — wezwała go gospodyni.

Ostrożnie oswobodził palce z uścisku Julji i podszedł do stołu, gdzie siedziała już Zosia i Jakuci. Głodu nie czuł, tylko straszne zmęczenie, będące następstwem nie tyle drogi stu-wiorstowej, odbytej konno i pospiesznie, ile tylu silnych i niespodzianych wrażeń. Siadł około Zosi i opiekował się nią ale sam niczego nie tknął, i nie odpowiadał nawet na pytania Jakutów.

— Kiedy myślisz wyjechać? — zaczepił go gospodarz.

— Nie rusz go... biedaczek!... — westchnęła gospodyni.

— Alboż ja go wyganiam... Tak tylko spytałem... przez ciekawość.

Po wieczerzy Aleksander wziął dziecko na kolana.

— Cóż, Zosiu, spać ci się chce?... A gdzie ty sypiasz?

— Z mamą.

— Teraz zemną spać będziesz. Czy zgoda?

Dziewczynka kapryśnie wydęła usteczka.

— Bądź grzeczna. Z mamą nie można. Mama chora. Ja ci rybkę za to złapię, maleńkie kaczątko, jak do domu pojedziemy, zobaczysz... Chodź, dziecko moje... — I nieznacznie, opowiadając rozmaite historje, zaczął jej zdejmować trzewiczki, pończoszki, rozpinać ubranie.

— Mama powiada, żeś ty, tatusiu, dobry — szczebiotała dzieweczka, obejmując szyję ojca gorącemi, pulchnemi rączkami. Ani myślała zasypiać. W białej koszulce, różowa, ślieczniutka kręciła się u niego na kolanach, zarzucając go pytaniami. By ją do snu prędzej skłonić Aleksander położył się sam obok i nie spostrzegł się, jak zapadł w sen kamienny.

Zbudził się nagle z uczuciem przerażenia, z zamętem w myślach, z sercem ciężkiem, jak ołów. — Co to mogło znaczyć? i gdzie on się znajdował? zapytywał siebie i wodził oczami po grubych belkach nisko zwieszającego się pułapu. — Nie u siebie, to pewna.. Może u którego z kolegów... Na kominie słabo tleje ogień... ktoś mówi... Jakuci?.. Jął się wsłuchiwać w szmer głosów.

— Wszystko umie. Po jakucku gadać — mistrz! Konno jeździ, łodzią kieruje, sieci zarzuca lepiej, niż Jakuci. Wszystkie ziemie, wszystkie drogi poznał — wielki łowiec!

— A czemużby nie miał być? — Myślę, że książki nie próżno oni czytają! — Czy łagodnego jest obyczaju?

— Grzech skarżyć się! Przedtem był dobry pan, tak powiadali ludzie z Ałdanu, i tu, gdy w okolicy przejazdem się zatrzymywał. Płacił... zawsze płacił. Ale dzieci i żona, zmieniają ludzi.

— O tak! A pani? czy dużo pieniędzy przywiozła?

— Musi być przywiozła. Ma piękną odzież, złote pierścionki, zegarek.. Pani jak się należy... południowa!

— Czy myślisz, że umrze?

— Pewno. Bardzo się męczy. Żonę moją sił pozbawiła, razy dwadzieścia w nocy wstawać zmusza.. Podtrzymywać trzeba; dusi ją. Taka wielka pani bez podtrzymywania nie może...

— Gdy umrze, to pamiętaj, kumie, zawołać mię — czy trumnę robić, czy mogiłę kopać... Nie zapomnij... Cudzoziemiec dobrze pewnie zapłaci... Oj zapłaci!... nie wykręci się!...

— Cicho, zdaje się nie śpi.

Głosy umilkły. Aleksander uniósł się na pościeli i jął przysłuchiwać się innym cichszym dźwiękom. Chora szeptem siliła się objaśnić coś Jakutce.

— Juljo, powiedz, czego ci trzeba, ja przetłómaczę.

— Nie śpisz już? Nie kazałam cię budzić, zmęczony jesteś. Powiadają, żeś usnął w ubraniu.

— Jakże się czujesz?

— Lepiej, mój drogi. Mówią, że dzień piękny; zawsze wtedy mam się lepiej. Powiedz gosposi, proszę, aby poszukała w rzeczach rondelka z pokrywką i ugotowała w nim mleka. Chcę cię ugościć kakao, dawno pewnie nie piłeś.. Sama z przyjemnością wypiję filiżankę... Będzie uczta — roześmiała się. — Czuję się dziś tak dobrze!... Dzień, dwa — a ruszymy w drogę.

Istotnie, do samego wieczora nie było zmiany w stanie chorej. Otucha wstąpiła w serce Aleksandra. Odważył się nawet wyjechać po wino do miejscowego protojereja. Wina nie dostał, bo go nie było, ale napisał list do towarzysza i dowiedział się, że oczekują »zasiedatiela«, z którym może i doktór przyjedzie obejrzeć ciała Tatarów-osiedleńców, którzy w tajemniczy sposób — wraz z domem spalili się w jego noslegu*).

— Zanocuj pan. Koń wypocznie... A będzie zamieć, wierzaj mi; ja, stary człowiek, znam się na tem. Pogwarzylibyśmy przy samowarze i buteleczce. — Słyszałem, że niedaleko od pana był tajemniczy pożar.

Aleksander słyszał istotnie jakąś posępną plotkę, ale ponieważ przyjął sobie za zasadę nie rozmawiać nigdy z »osobami« o jakuckich spra-

*) Nosleg — jednostka jakuckiego samorządu, odpowiadająca gminie włościańskiej. Jakuckie osady nie tworzą wsi, ale oddzielne kolonje, rozrzucone częstokroć na olbrzymiej przestrzeni. Są gminy rozległości naszych powiatów, nawet gubernji.

wach, więc nic nie odrzekł. Zamieci zaś nie lękał się, choć go istotnie zaskoczyła w pół drogi.

Nisko zsunęły się ciężkie chmury, wiatr wzmógł się i zahuczała burza. Świszcząc, podniosły się tumany śniegu, wiatr porwał je, zmełł na pył i rzucił nim o las z jękiem się chylący. Okolica zatonęła w mlecznym odmęcie.

Aleksander nasunął na twarz kaptur, poprawił się na siodle i wolno puścił cugle koniowi. Koń kroczył śmiało — od czasu do czasu uchylał głowę, by obwąchać drogę lub o kopyto oczyścić śniegiem zabite nozdrza. Do domu mieli niedaleko ; droga nie rozdwajała się nigdzie: zbłądzić było prawie niepodobna. Jeździec, jak żółw w skorupie zamknięty w swej futrzanej odzieży, zamyślił się głęboko, ukołysany szumem zawieruchy. Przed oczami miał obraz jurtv jakuckiej, gdzie w purpurowym blasku ogniska umierała jego żona... Po co ona przyjechała?... po co?... po co?... Zginie, a śmierć jej na jego pozostanie sumieniu. Dlaczego nie wyrzekł się jej zupełnie?.. Jeśli szczerze pragnął, by o nim zapomniała, powinien był zniknąć zupełnie, zerwać wszelkie stosunki, nie pisać, na listy nie odpowiadać! — On zaś nie tylko pisał, ale całował papier, którego miały dotykać się jej ręce... dusza jej odczuła to, widać... w zimnych rozumowaniach, któremi silił się dowieść jej konieczności wiecznego rozstania, domyśliła się utajonego wołania... Przyjechała i... ginie!... A może!...

Fala gorącej krwi spłynęła mu do serca. Nie dokończył myśli przez zabobonną trwogę... Nie śmiał marzyć...

Koń, który cały czas szedł szybko, stanął i głośno zarżał Aleksander drgnął i spojrzał w dal. Otaczał go mrok gęsty, wśród którego hasał śnieżny ocean, ale jemu się zdało, że w zwichrzonych tumanach mignęły czerwone iskry, a wiatr przyniósł w odpowiedzi słabe echo rżenia. — Jurta musiała być już blisko. Otrząsł więc śnieg z odzieży i ściągnął cugle. Po kwadransie przywiązywał wierzchowca do słupa w podwórzu sadyby.

Chorą zastał znacznie gorzej. Nie zwróciła się nawet ku niemu, gdy wszedł, tylko zlekka poruszyła spuszczoną na piersi głową. Siedziała pochylona naprzód pomimo osłabienia, gdyż najmniejszy ruch w tył, wywoływał okropny kaszel. Pot kroplisty oblewał jej ciało; gospodyni wciąż musiała zmieniać na niej bieliznę i zaczynała już zrzędzić. Aleksander pospieszył zastąpić ją w tem i teraz dopiero zauważył, jak Julja okropnie była wychudła. Wyglądała,, jak szkielet powleczony białą, przejrzystą skórą. Nie mogła mówić i tylko czasem słabo ściskała dłoń jego.

— W tych dniach obiecują doktora — powiedział, korzystając z chwilowej przerwy. Chora ostrożnie oparła się o poduszki.

— Nie warto... ja muszę!.. Kochaj Zosieńkę... Aby tylko prędzej!... Boże mój!... jakże ja cierpię!...

I znowu krztuszenie się, od którego zdawało się, że pierś jej pęknie, kaszel, krew, poty, wreszcie zupełne wyczepanie i woskowa bladość twarzy. Tylko szeroko otwarte oczy płonęły wciąż, jak pochodnie; gdy zwracały się na męża, strach cierpienia mięszał się w nich z łagodną tkliwością.

Minęła noc. Nad ranem chora usnęła. Aleksander czuwał, siedząc przy niej na niskim stołeczku. Czuł się rozbitym. Od widoku tych męczarni i jego rozbolały piersi, serce krwią nabiegło, głowę ściskała żelazna obręcz. Widział wciąż przed sobą zsiniałą twarz Julji z oczami na wierzch wyszłemi. Nie wiedział już czego pragnąć...

Ze zgrozą odpędzał od siebie myśl o końcu ostatecznym, gdzie był chłód rozpaczy i obojętność na wszystko.

— Słaby jestem, słaby, jak małe dziecko!...

Umarła nazajutrz, a on nie przyjął ostatniego jej tchnienia. Wyczerpany zdrzemnął się z czołem, opartem o krawędź pościeli. Zbudziło go gwałtowne szarpanie.

— Umarła!... żona umarła... — szeptała wystraszona gospodyni...

Chora leżała nawznak, z głową spuszczoną na piersi, z oczami szeroko rozwartemi; martwą źrenicą patrzyła gdzieś przed siebie, a na rzęsach nie zaschły jeszcze łzy. Aleksander siedział, jak gromem rażony. Nic nie widział, nic nie słyszał, nie myślał, tylko ścigał jakieś urywki błędnych słów, lecących mu przez głowę niby liście, jesiennym wiatrem pędzone.

W jurcie zaś wszczął się ruch i po trochu zaczęli schodzić się ludzie.

— Cóż więc?... po duchownego posłać?... dół kopać, czy co? Trumnę każesz robić, czy jak? — pytali go.

On niecierpliwie, prawie z gniewem potrząsnął głową.

Strwożeni odstąpili od niego. Siedział więc dalej bez ruchu, głowę nisko spuściwszy, tyłem zwrócony do obecnych. Na kominie ogień trzaskał; ludzie chodzili na palcach, rozmawiali szeptem. Podano wieczerzę, przyniesiono pościele; gospodyni rozebrała i ułożyła spać dzieci. Sąsiedzi znowu zaczęli się zbierać. Aleksander nie ruszył się.

— Ten cudzoziemiec zupełnie nie myśli grzebać żony! — z rozpaczą wykrzyknął gospodarz.

— Cudzoziemcze!... panie cudzoziemcze!... Kogóż najmować będziesz?... Odpowiedz!... — zagadali obecni.

Aleksander podniósł głowę i westchnął.

— Nie smuć się tak! Młody jesteś, jeszcze się ożenisz — pocieszała go Jakutka.

— Popa, myślę, nie będziemy sprowadzać... Daleko i drogę zawiało — doradzał gospodarz. — Tu, blisko mieszka staruszek, co umie czytać modlitwy... Czyta u wszystkich.. u bogatych i u szanownych nawet czyta... Po pasport, po świece wyślę sąsiada... Potroskam się dla ciebie, cudzoziemcze... Doprawdy żal mi ciebie... Taką ładną żonę straciłeś!... A dół wykopiemy z kumem do spółki... trumnę drugi kum zbije... Czy zgoda? Hę? Nie drogo weźmiemy... Jak myślicie, ludzie?...

— Co się pytać!... Czyż nie szkoda cudzoziemca?!...

— Policzymy, co kosztować będzie — to lepiej: staruszek z modlitwą — pięć rubli... — zagiął Jakut palce; — świece, pasport, kadzidło — dwa ruble; tyle i nas kosztować będzie... nie mniej!

— Skąd mniej! To już od wieków określona cena!...

— A teraz: dół — pietnaście rubli, trumna — siedm, razem, równo... trzydzieści!... Prócz tego..

Aleksander otworzył portmonetkę.

— Mam tylko dwadzieścia rubli.

Umilkli.

— Cóż poczniemy? Przecież mi jeszcze, należy się od ciebie za mleko, za mięso... za kłopot też cokolwiek podarować winieneś. A bydlęcia czyż nie zabijem? A temu, co trupa odziewać będzie, za pracę, czy nic nie damy?

— To ja sam — rzekł Aleksander i wargi mu zadrżały. — Nie trzeba też staruszka z modlitwą!...

— Dobrze, lecz wtedy ciała nie położymy na pierwszem miejscu pod obrazami, tylko koło drzwi...

— Położycie, gdzie każę!

— Nie, cudzoziemcze... Nie wolno!...

— Zobaczymy!

— A co, mówiłem — szepnął ktoś w dalszych szeregach. Gospodarz pogardliwie wydął usta.

— Skąpisz... dla swojej kobiety skąpisz... a ona, biedna, tyle tysięcy wiorst jechała... niczego nie szczędziła.. życie postradała...

Aleksander przymknął oczy; kąty ust konwulsyjnie mu drżały.

— A byczek?

— Byczka też nie trzeba.

Jakut w zakłopotaniu musnął się po brodzie.

— Co tego — to już nie można... Bez zabitego bydlęcia żaden Jakut człowieka chować się nie zgodzi... — wyrzekł gorąco. — Od tego kości za życia próchnieją... chorujemy... Wiesz co, cudzoziemcze, dam ci oskard, siekierę i wszystko — rób sobie sam... A kobietę twoją do spiżarni złożymy, gdyż wcześniej, jak za tydzień nie skończysz.

Aleksander chwilę rozmyślał. Istotnie nie skończy, szczególniej teraz, gdy czuje się tak słabym.. Więc cały tydzień!.. A Julję położą w spichrzu, gdzie pył śniegowy sypać się będzie przez szczeliny na twarz jej i promienne oczy... Poczuł ból w piersiach, jak gdyby ktoś poruszył nóż ostry, w serce wbity.

— Pieniędzy nie mam. Chcecie, kwit dam...

— Co nam po kwicie! — Myślisz może, drogo żądam? Doprawdy tanio, prawie darmo. Samych tyleż kosztować będzie Ile odzieży przytem porwać trzeba, pokarmu zjeść... więcej wydasz, niż dostaniesz... Zresztą przez poszanowanie dla smutku twego... ustąpimy rubla.

— Powiedziałem, że mam tylko dwadzieścia.

— Więc sprzedaj rzeczy — odezwał się ktoś z obecnych.

— Zgoda! — kupcie więc zegarek...

Wyciągnął ku nim drżącą rękę z zegarkiem Julji na dłoni. Jakuci obstąpili go z ciekawością; najszanowniejszy przyłożył złote cacko do swych sterczących ciemnych uszów.

— Mówi... — szepnął z uśmiechem.

— Mówi?... — pytali inni i każdy chciał usłyszeć, co mówi, ale nikt nie myślał kupować.

— Chyba w mieście sprzedasz... miejskim Jakutom. Nam zaś potrzebna odzież, perkal, futra... Pierścionek złoty jeszcze kupić możemy...

Obrączki sprzedać nie chciał, ale otworzył im kufer. Otoczyli go tłumnie, zaczęli chwytać i pokazywać sobie różne rzeczy.

— Widzicie, suknia jedwabna. Co chcecie, cudzoziemcze, za jedwabną suknię?... Przerobić, będzie odzież dla człeka...

— Srebrne łyżki, ręczniki, pończochy...

— Cudzoziemcze, podaruj!... Na co ci to... przecie kobiece... Jabym zaniósł swojej babie...

— Cudzoziemcze, daj to...

— A może to...

— I mnie...

(C. d. n.).

Wiadomości bibljograficzne.

Boroński Lesław Dr. Polacy na Bukowinie. Szkic statystyczny. Kraków 1896, Str. 30.

Małecki Antoni. Lechici w świetle historycznej krytyki. Lwów 1897. Str. 267,

Marrené Walerja. Historja zwyczajnego człowieka, Z opowiadania emeryta spisała... Warszawa Nakładem Lewentala Str. 274.

Olesków Józef Dr. Rolnictwo za Oceanem, a przesiedlna emigracja. Żółkiew 1896. Str. 48.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.